Nr. 25. We Lwowie dnia 18. Czerwca 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

19)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Aleksander Czekanowski.

Aleksander Czekanowski urodził się w Krzemieńcu, prawdopodobnie po roku 1830*) pomiędzy 1830 a 1833), z ojca Laurentego, czyli Wawrzyńca**), rodem z Galicji wschodniej, i z matki pochodzenia francuskiego.***)

Ojciec Aleksandra miał w Krzemieńcu pensjonat, w nim kształcił się książę Stefan Lubomirski, który pamiętał dobrze owe czasy i komunikował mi wiele szczegółów, dotyczących ojca i matki Aleksandra, z tych szczegółów, ważniejsze powtarzam poniżej:

Naczelnik poczt w Krzemieńcu, imiennik, lecz nie krewny ojca Aleksandra, umierając bezdzietnie, zapisał całą swoją fortunę Laurentemu Czekanowskiemu, bawiącemu podówczas we wschodniej Galicji, a ten, dopiero po oddziedziczeniu spadku rzeczonego, przeniósł się do Krzemieńca, naturalizował się tutaj i założył pensjonat męski, dla dzieci szlachty okolicznej, — dla szlachty, powiadam wyraźnie, bo w zabranym kraju w owe czasy pozwalano wyjątkowo tylko włościanom i mieszczanom oddawać dzieci swoje do gimnazjum, lub do zakładów prywatnych.



Podług fotografji, zdjętej w Kijowie r. 1863.

W pensjonacie, sam Laurenty Czekanowski wykładał język niemiecki, którym władać miał po mistrzowsku, gdy innych przedmiotów uczyli profesorowie z liceum krzemienieckiego; wogóle szkoła Czekanowskiego była wzorową i służyła jako przygotowawczy zakład dla kandydatów, mających zamiar wstąpić do liceum krzemienieckiego. Po zwinięciu atoli, przez rząd rosyjski wyższej szkoły w Krzemieńcu, pensjonat Czekanowskiego funkcjonował jeszcze czas pewien, jako zakład samoistny.****)

Osiadłszy na stałe w granicach państwa rossyjskiego, Laurenty Czekanowski ożenił się z Polką, noszącą jednak, jak wyżej powiedziano, nazwisko francuskie. Matka Aleksandra była zdrowia wątłego, chorowała często, umarła wcześnie i osierociła syna w wieku, gdy ten potrzebował jeszcze opieki matczynej to też wpływu na wychowanie Aleksandra nie mogła mieć żadnego, kierował niem ojciec sam i jego przyjaciel, prof. Besser.

*) Pewniejszej nad tę datę, podać nie można. Według świadectwa Mikołaja Hartunga, przyjaciela i towarzysza Aleksandra na Syberji, miał się on urodzić w roku 1830; od innych znowu słyszałem, że przyszedł na świat dopiero w r. 1833.

**) O ile sobie dzisiaj przypominam opowiadania księcia Stefana Lubomirskiego, to ojciec Aleksandra pisał się Laurentym, a nie Wawrzyńcem. W Syberji zwano Aleksandra „Pa batiuszkie“, „Ławrentjewiczem“. Od niego samego nie słyszałem nigdy imienia ojca.

***) Nazwisko matki Aleksandra podał mi książę Stefan Lubomirski, ale dzisiaj nie mogę stanowczo zapewnić, czy to nazwisko dokładnie zapamiętałem, to też przytaczam je tutaj ze znakiem zapytania: „Giustyn“?

****) Z relacją powyższą nie zgadzają się szczegóły niektóre, podane przez Marjana Dubieckiego w życiorysie Aleksandra. (Tygodnik illustrowany T. III., Serja

Według opowiadania ks. S. L. ojciec Aleksandra był to pedagog zamiłowany w swoim zawodzie, zwolennik wychowania klassycznego i rygoru szkolnego. Będąc jednak ludzkim, sprawiedliwym, a do tego znając dobrze naturę człowieka, nie dowierzał jej i chcąc uprzedzić smutne wypadki, w rodzaju tych, jakie się trafiają nawet i w obecnej dobie, szczególnie często w państwie „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ — obmyślił i wykonał maszynę dyscyplinarną, gdzie ręka karzącego pedagoga zastąpiona była przez przyrząd bijący, gdyż ten, według zdania Laurentego Czekanowskiego, dawał większą rękojmię, że nie skaleczy, nie zabije, a nawet nie zbezcześci oblicza osobników karanych, niż tego oczekiwać było można od rozzłoszczonych fanatyków lub szowinistów pedagogów. Maszyna wynalazcy, jak powiadał ks. S. L. była dowcipnie pomyślana i miała to doniosłe znaczenie dla pedagogji, że powierzając czynność katowską przyrządowi mechanicznemu, zwalniała tem samem nauczycieli, inspektorów i dyrektorów od smutnego a niecnego obowiązku maszyn karzących.

Myśl uszlachetniania adeptów zawodu pedagogicznego, zajmowała ciągle umysł ojca Aleksandra, nosił się on nawet z projektem urządzenia maszyny, którаby wyręczała nauczycieli przy łajaniu i wymyślaniu, przyczem te ostatnie odbywać się miały w języku klasycznym, którym przemawiali bogowie parnasu rzymskiego. Wogóle mówiąc, Laurenty Czekanowski był pedagogiem pomysłowym, o dążnościach szlachetnych i moralnych, szczerze oddany zawodowi swojemu, marzący o tem, ażeby nauka stała się przyjemnością dla młodzieży, a nie męczarnią, jaką była wówczas.

Jako polityk ojciec Aleksandra był gorącym patrjotą austryjackim i święcił skrupulatnie uroczystości dworskie domu Habsburgów. W dnie takie solenne zapraszał do siebie członków kolonji niemieckiej w Krzemieńcu, wznosił toasty na cześć panującego podówczas monarchy w Austrji, spokrewnionego, jak utrzymywał z domem Jagiellonów i wygłaszał przy tej okazji mowy piękne i krasomówcze w języku niemieckim.

Aleksander wychowując się wśród warunków rzeczonych, odniósł tę korzyść mianowicie, że się w domu nauczył gruntownie języka niemieckiego, władał nim w piśmie i w mowie z całą swobodą człowieka, mówiącego tym językiem od dziecka, zadziwiał zaś zwykle wszystkich potoczystością mowy Germanów i nawet pewnego rodzaju stylem krasomówczym. Tych faktów nie umiano sobie w Dorpacie inaczej objaśnić, jak stawiąc hipotezę, niczem zgoła nie uzasadnioną, że matka Aleksandra musiała być niemką, skoro nazwisko jego własne nie pozwalało podejrzewać pochodzenia niemieckiego ze strony ojca.

Laurentego Czekanowskiego łączyły węzły głębokiej, przyjacielskiej zażyłości z prof. liceum krzemienieckiego, a później prof. w Kijowie, Wilibaldem Besserem, znanym botanikiem i entomologiem. Besser był ojcem chrzestnym Aleksandra, lubił go jak własne dziecko i umiał przelać w duszę swego pupila w Kijowie, całą głębię zamiłowania do nauk przyrodniczych. Że często z nim obcował, że go zaprawiał od dziecka do pracy kollektorskiej, że go nauczył nomenklatury botanicznej i zoologicznej, o tem wspominał Aleksander często, a szczególniej wtedy, gdyśmy podziwiali biegłość jego w nazywaniu roślin i owadów, nieraz recytował całe djagnozy Linneuszowskie z taką precyzją, jak gdyby czytał z książki, a to nietylko w zakresie botaniki, lecz i całej zoologji. Odnośnie do umiejętności kollektorskiej, Aleksander przewyższał pod tym względem znanych mi entomologów i botaników, wszystko to jednak zawdzięczał Besserowi, przyjacielowi ojca i opiekunowi swojemu.

Jak długo pozostawał Laurenty Czekanowski w Krzemieńcu, po zwinięciu liceum, tego dowiedzieć się nie mogłem, to tylko pewna, że nie przeniósł się do Kijowa, lecz wziąwszy w dzierżawę folwark, osiadł na wsi. Syna swego oddał do szkół w Kijowie, gdzie pozostawał pod opieką Bessere'a. Aleksander skończywszy szkoły, wstąpił do uniwersytetu i zapisał się na wydział medyczny. Nie mając jednak do sztuki lekarskiej żadnego zamiłowania, mało się zajmował studjami medycznemi, lecz ciągle i stale pracował w dziedzinie nauk przyrodniczych; był on ulubieńcem trzech naraz profesorów, wykładających w Uniwersytecie kijowskim, mianowicie Karola Kesslera, Teofiłaktowa i Rogowicza, czyli prof. zoologji, botaniki i geologji. Przedmiotami tych trzech gałęzi historji naturalnej zajmował się równorzędnie, z jednakiem zamiłowaniem i gorliwością; uczęszczał na wykłady, odbywał wycieczki botaniczne i geologiczne, przesiadywał po całych dniach w gabinetach, determinował, porządkował, dopełniał kolekcje i był goraczkowo czynnym przez cały czas swoich studjów w Kijowie.

Aleksander miał powierzchowność ujmującą, przy niezmiernie grzecznem i dystyngowanem obejściu się z ludźmi. Twarz jego była wyrazista, ożywiona, a gdy przemawiał podczas odczytów, przykuwał wprost uwagę słuchaczy wyrazem niezwykłym swej fizjognomji, zdradzającej głębokie przejęcie się traktowa-

---

III. 1877 N. N. 59 i 60). Szczegóły rzeczone wypisuję dosłownie, nie mogąc na razie rozstrzygnąć, po której stronie jest słuszność: „Zaledwie wyszedłszy z lat niemowlęcych“, powiada M. D. „Młody Czekanowski pożegnał na zawsze pełną uroku krzemieniecką dolinę i udał się w roku 1834 z rodzicami do Kijowa, gdzie po zwinięciu liceum, zakładano nowy uniwersytet“. (l. c. str. 104).

nym przedmiotem. Głowę miał stosunkowo dużą, krótką, czoło wysokie, policzki mało występujące, podbródek zaokrąglony z bardzo wyraźnym dołkiem „wdziękowym“, bródkowym, nos prosty, mierny, nieco zgrubiały na końcu, usta pełne. Oczy niebieskie, żywe i bystre. Wzrok jego był doskonały. Włosy na głowie gęste, ciemno-szatynowe i światlejszy od nich obfity zarost na twarzy, zwykle starannie pielęgnowany, były w stałej harmonji z całą jego postawą, męską, energiczną, sprawiającą dodatnie wrażenie na widzach.

Łączył on w sobie wszystkie zalety i przymioty dobrego naturalisty, był niezmiernie żywego temperamentu, zahartowany od dziecka do wycieczek długich i dalekich, nawykły do obserwacji, obdarzony pamięcią fenomenalną i rzadkim darem orjentowania się wśród okolic, po raz pierwszy zwiedzanych.

Takim go poznałem, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali w Dorpacie, dokąd przyjechał na studja geologji, po ukończeniu kursów medycyny w uniwersytecie św. Włodzimierza.

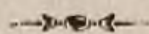
W koleżeńskiem pożyciu w Kijowie był towarzyski i lubiał od czasu do czasu „pohulać“ z kolegami, często po cało-miesięcznej ciężkiej i usilnej pracy, rzucał na raz wszystkie zajęcia, zamykał zbiory i kollekcje na klucz i oddawał się „hulance“ z tym gorączkowym porywem, jaki charakteryzował całą jego istotę. W Kijowie żył w bliższych, koleżeńskich stosunkach z Marjanem Dubieckim, Władysławem Kozłowskim, Zygmuntem i Grzegorzem Kaczkowskimi, z Konstantym Jelskim, Janem Wańkowiczem, Kamińskim, Konstantym Malewskim, Mikołajem Hartungiem etc. Udziału w sporach i debatach politycznych i socjalnych brać nie lubił, natomiast żywo go obchodziły w owych czasach nowe prądy, wytworzone w dziedzinie wiedzy przyrodniczej, stanął zaraz po ich stronie i był wymównym szermierzem, walczącym przeciwko tym, którzy te nowe przebłyski prawdy pragnęli pogrzebać co najprędzej, a to nie z innej racji, jak tylko z obawy przed koniecznością samodzielnego myślenia.

(C. d. n.)



FRAN MAŽURANIČ.

(Z cyklu poezji prozą).



DJANA.

Luna mendax.

Miałem koło pięciu może lat, gdym zauważył ku wielkiemu swemu zdumieniu, że księżyc chodzi za mną krok w krok. Dokąd ja, tam i on!

Pochwaliłem się przed przyjacielem.

— Chodzi i za mną też! — odrzekł mi przyjaciel.

Zaczęliśmy się spierać, któremu z nas właściwie księżyc towarzyszy.

— Eh, wszak możemy się przekonać! Idźmy tą drogą: ja w górę, a ty w dół, — wtedy będziemy widzieli, którego z nas księżyc woli.

Uczyniliśmy tak. Patrząc w księżyc, szliśmy w przeciwnym kierunku.

— Cóż, idzie za tobą?

— Idzie, a za tobą?

— I za mną też.

Nie mogliśmy natenczas dość się nadziwić, jak może księżyc — w jednym i tym samym czasie — towarzyszyć dwom osobom, idącym w różne strony?!

Dziś jednak wcale się temu nie dziwię, poznałem bowiem inną Djanę, która za trzema chodzi, a każdy z nich sądzi, że jest jedynym — oprócz męża.

. . . .

Przemknęło mi to wczoraj przez głowę, gdym zauważył, wracając do domu, że księżyc ma rogi.

Tłum. z chorwat. *M. W.*



NOWE OGNISKA CYWILIZACJI.

(AUSTRALAZJA).

(P. Leroy-Beaulieu: Les nouvelles Sociétés Anglo-Saxones).

Australazja, w skład której wchodzą lądy N. Holandji, Tasmanji i N. Zelandji, przedstawia niewątpliwie w chwili obecnej, co do zwyczajów życia społecznego, oraz nurtujących tam prądów, jedną z najciekawszych okolic obszaru cywilizowanego, zamieszkałego przez rasę białą, bardzo ciekawą pracownię nowych form i nowych wzorów życia społecznego.

Na całym globie niema takiego drugiego zakątka, w którym procent umiejących czytać i pisać byłby większym, liczba listów i telegramów lub dokonywanych sprawunków, przypadającą na jednego mieszkańca, znaczniejszą. Poziom życia, jeśli mamy wierzyć cyfrom statystycznym, pokazującym spożycie mięsa, cukru i innych wiktuałów, znajduje się na takiej wysokości, jakiej nie odnajdziemy w żadnym innym punkcie ziemi: pojedyńcza osoba przeciętnie spożywa tam w ciągu roku 276 funtów mięsa, wówczas gdy w stanach Zjednoczonych tylko 150, w Anglji zaś 109, we Francji zaledwie 77; natomiast mniej chleba, kartofli i innych podobnych produktów, aniżeli we wszystkich wymienionych państwach. Przy większej taniości środków spożywczych, kwota, wydawana przez pojedynczego obywatela, jest znaczniejszą, wynosi bowiem 1,175 fr. rocznie, tymczasem wydatki mieszkańca Stanów Zjednoczonych roczne nie przewyższają sumy 820 fr., Anglika 795, Niemca 505, Włocha 290! Z pośród tej sumy, wydawanej przez obywateli Australazji, przypada niespełna trzecia część na pożywienie, siódma na ubranie, ósma na mieszkanie, wreszcie pozostaje olbrzymi procent, bo 40% całego dochodu, na najrozmaitsze rozchody i rozrywki, nie stanowiące koniecznej potrzeby. Dodajmy, że podobna cyfra przeciętna nie kryje przepaści społecznych, ale przedstawia wynik zamożności, względnie dość równomiernie rozdzielonej pomiędzy mieszkańcami, równomierniej, niż w jakimkolwiek innem ognisku cywilizacji białej. Skutki tego uwydatniają się i w najmniejszych rozmiarach śmiertelności: żadna inna okolica cywilizowana nie może się poszczycić takim nizkim poziomem wypadków śmierci.

I w zakresie stosunków społecznych spotykamy w Australazji wzory najbardziej posunięte wśród świata cywilizowanego.

Nigdzie dzień roboczy nie jest tak krótki i nigdzie praca fizyczna nie otrzymuje takiego wynagrodzenia. Podatki opierają się na zasadzie postępowej i obciążają przedewszystkiem warstwy zamożne.

W N. Zelandji, na 90.000 właścicieli, jedynie 12.000 opłaca podatek gruntowy, bo w tej ostatniej dopiero majątki, posiadające większą wartość, niż 12.500 fr,. zaczynają uiszczać odpowiednie daniny. Prócz podatku od dochodu, istnieje jeszcze spadkowy, oparty także na zasadzie postępowej, i sprzedaż gruntów dostarcza znacznej części funduszów, potrzebnych na pokrycie budżetu państwowego. Prawa kobiety polityczne w niektórych kolonjach Australazji niczem nie różnią się od praw mężczyzn, o ile chodzi o prawa wyborcze. W r. 1893 w N. Zelandji, w roku 1805 w Australji południowej otrzymały one zupełne prawo wyborcze. Wyższe stanowisko polityczne kobiet oraz samodzielność ich ekonomiczna, odbiły się i na stosunku ich do mężczyzn, mianowicie na coraz podwyższającym się wieku panien, wstępujących w związki małżeńskie. „Zatrudniam — opowiada pewien przedsiębiorca nowo-zelandzki wspomnianemu przez nas pisarzowi francuskiemu — osiem dziewcząt w wieku lat 20—25 zarabiają one po trzydzieści franków tygodniowo; żadna z nich nie ma narzeczonego. I po co mają się spieszyć? Żyją dostatnio i są najzupełniej niezależne“. Z późnym ożenkiem idzie w parze stosunkowo nieznaczna liczba potomków.

Niewątpliwie Australazja swoimi stosunkami wyprzedziła Stany Zjednoczone. Oba te społeczeństwa, chociaż rozwinęły się z tego samego pnia anglo-saskiego, przedstawiają tyle różnic w swoim charakterze, iż mimowoli musimy zadać sobie pytanie, jakim sposobem do tego doszło. Rzecz znajduje wyjaśnienie w różnej naturze żywiołów, które przyczyniły się głównie do dania początku społeczeństwu amerykańskiemu i australazjatyckiemu. W Ameryce północnej wychodźcy wiejscy stworzyli pierwsze pierwiastki kultury, z których dopiero rozwój późniejszy wyzwolił Stany Zjednoczone. Osada rolnika była tam przez długie wieki zasadniczą formą bytu, miasto zaś tylko podrzędnym dodatkiem, który zaledwie w ostatnich czasach pozyskał większą doniosłość w społeczeństwie. Tymczasem koleje rozwoju w Australazji były zgoła odmienne. Stała się ona przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie przytułkiem żywiołów miejskich, które zaczęły do

niej napływać bardzo silnie po r. 1852, dacie odkrycia żył złotodajnych. Wśród przybyszów znaczny procent stanowili czartyści, którzy w tym czasie zaczęli masowo opuszczać kraj ojczysty i szukać lepszego jutra za morzem. A jakkolwiek, pomijając wywóz złota, dwie trzecie wartości wywożonych stamtąd produktów stanowią płody wiejskie, mianowicie wełna i mięso, to przecież kolonje australazjatyckie pozostały społeczeństwem nawskroś miejskiem, bardziej miejskiem, aniżeli gdziekolwiek indziej. Zaludnienie wszystkich kolonij angielskich, położonych w piątej części świata, wynosi 3,800.000 mieszkańców. Z tej liczby na miasta przypada przeciętnie 44·7 prc.; cyfra ta przecież w niektórych dzielnicach jest większa, bo np. w Wiktorji dochodzi do 54 prc., w Australji południowej do 48 prc. Dodajmy, iż ludność miejska jestześrodkowana niemal tylko w paru miastach, stolica Wiktorji zawiera aż 43 prc. wszystkich mieszkańców kolonij, stolica Australji południowej 41·5 prc. Gdybyśmy wzięli trzy stolice N. Holandji, a mianowicie Sydney, Melbourne i Adelajdę, oraz stolicę Tasmanji, Brisbane, to cztery te miasta w murach swoich dały schronienie 1,100.000 głów, tj. więcej, niż jednej czwartej całego zaludnienia Australazji! „Wielkie źródła bogactwa kraju spoczywają w roli, ale przybysze pochodzą z miasta i pozostali w mieście. Z tej przyczyny, z tego braku równowagi społecznej, pochodzą wszystkie wady organizmu społecznego Australji, — pisze Leroy-Beaulieu, mający na myśli radykalizm zamorskich mężów stanu. „Państwo od samego początku posiada olbrzymie wpływy, ponieważ w jego rozporządzeniu znajdowały się grunta. Sprzedaż ziemi dostarczała mu znacznych funduszów. Miało ono więc sumy bardzo wielkie, wówczas kiedy kapitały osób prywatnych były albo nieznaczne, albo niepewne. Musiało więc wziąć na siebie wielkie roboty publiczne, zwłaszcza zaś budowę kolei. Tłumy przyzwyczaiły się spoglądać na państwo, jako na opiekuna i na *reliev works* (tj. na zajęcia dla znajdujących się bez zarobku), jako istotne zadanie rządu. A ponieważ zbudowało koleje, czemu nie ma wziąć na siebie i innych przedsiębiorstw, np. kopalni? Logika demokratyczna pragnie dzisiaj z państwa australazjatyckiego zrobić przedsiębiorcę powszechnego“.

Niepodobna nam podawać rozbiorowi całości owych stosunków. Poprzestaniemy więc na próbach, dokonanych tam w czasach ostatnich w zakresie własności ziemskiej.

Początek dała N. Zelandja w r. 1892, przyjmując zasadę, iż ziemia powinna należeć do państwa, rolnik zaś — być jedynie stałym dzierżawcą. Zaprzestano więc sprzedaży ziemi i ograniczono się do zawierania umów dzierżawnych, wypuszczających kawałek ziemi na 999 lat, t. j. faktycznie na wieczność. W praktyce wszystko pozostało po dawnemu, lecz zasada prawna stosunku państwa do gruntów uległa zmianie. Taki nabywca nie uiszcza wartości ziemi, tylko płaci skarbowi dzierżawę w wysokości 4% od jej szacunku. Istnieje jeszcze i inna norma dzierżawy, 25-letnia z czynszem rocznym, wynoszącym 5% wartości. Wielkość takich wydzierżawianych gruntów jest oznaczona przez prawo, jako też warunki jej otrzymania, polegające na zobowiązaniu się dokonania ulepszeń w pewnym terminie.

W dwa lata po uchwaleniu powyższej zasady sejm nowozelandzki poszedł jeszcze dalej, bo przeprowadził prawo, na mocy którego skarb otrzymał możność wywłaszczania posiadaczów majątków ziemskich, przewyższających pewne granice. Jeśli taki właściciel nie chce przystać na cenę, ofiarowaną przez rząd, wówczas sprawę rozstrzyga sąd specjalny, według otaksowania znawców.

Za wzorem N. Zelandji poszła Australia południowa w r. 1895. Państwo wydzierżawia kawałek ziemi, nieprzewyższający swoimi rozmiarami pewnej normy, na lat pięć pod warunkiem uiszczania opłaty w stosunku 1% od oszacowanej wartości. Po pięciu latach dzierżawca może zamienić kontrakt na wieczysty, uiszczając naówczas dzierżawę w wysokości 2%. Nadto taki dzierżawca jest zobowiązany do stałego zamieszkiwania na trzymanym kawałku ziemi.

N. Zelandja dała początek jeszcze donioślejszej próbie, dążąc do stworzenia wsi kooperacyjnych, tak zwanych *village settlements.*

Na podstawie prawa z r. 1893 w Australji południowej takie stowarzyszenie współdzielcze wiejskie powinno zawierać co najmniej 20 osób, na głowę przypada co najwyżej 64 hektary, nadto rząd jest uprawniony do wydania zasiłków pieniężnych w ilości nawet 50 funtów sterlingów na osobę. Po latach trzech istnienia spółka zaczyna skarbowi zwracać otrzymaną pożyczkę z dodaniem 5% od wziętego funduszu, cały dług musi być umorzony po latach dziesięciu od chwili pierwszej spłaty. Na czele spółki znajduje się zarząd, wybrany przez uczestników, spory wszelkie są załatwiane za pośrednictwem sądu polubownego, nikt z pośród zjednoczonych nie może posiadać interesu odrębnego od reszty z wyjątkiem kawałka ziemi, wyznaczonego przez zarząd. Ten ostatni może przyjmować nowych członków i wydalać należących, którzy zresztą mogą apelować od jego rozporządzeń do ogólnego zgromadzenia spółki. Zarząd, wybrany na rok czasu, pośredniczy pomiędzy rządem a spółką, kieruje pracami w polu, budową domów i wszelką produkcją, która powstać może w osadzie, kupnem i sprzedażą przedmiotów, potrzebnych spółce, wyznacza trwanie robót i kto ma je spełniać: zarządza składami, słowem spełnia wszelkie czyn-

ności władzy ekonomicznej i administracyjnej. Każda rodzina prowadzi życie zupełnie samodzielnie, otrzymując co piątek od zarządu bony, za które pobiera wiktuały i inne przedmioty w magazynie spółkowym. Każdy z członków dostaje część jednakową bonów rocznych.

Takich spółek w pierwszym roku powstało trzynaście. Zdaje się, poszły nieświetnie. Niektóre liczą po stu członków czynnych. O ile to niepowodzenie jest stałe, trudno orzec wobec tego, iż stowarzyszenia te istnieją 15 do 18 miesięcy, przynajmniej dane nasze nie sięgają dalej. Spółki winny były usunąć z miast nadmiar ludności i przenieść ją na wieś.

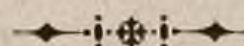


SPŁATA

PRZEZ

11) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.



Każdy wielki lekarz, tak samo jak wielki dramaturg, a zapewne i wielki aktor, jest bardziej człowiekiem czynu, niż myśli.

Te różnorodne zawody wymagają szybkiej decyzji, ocenienia w lot danej sytuacji, a do tego jest niezbędną fizjologiczna rzeźwość, biorąca górę nad nerwami.

Miałem nieraz sposobność sprawdzenia tego w moich stosunkach z wybitniejszymi osobnikami tych trzech intelektualnych gatunków.

Lecz patrząc na Eugeniusza po jego rozmowie z ofiarą jego rodziców, przekonałem się jeszcze dowodniej, że zawód lekarski wyrabia, że tak powiem, wojskową dyscyplinę ducha.

To objawienie poraziło go, jak piorun. Z oczu jego czytałem, że już nie wątpi o prawdzie słów nędzarza. A jednak ani jednem słowem, ani jednym ruchem nie zdradził, nawet przedemną, strasznej burzy wewnętrznej, która szalała w jego duszy. Rzekł mi poprostu:

— Wysiądę przy ulicy Amyot. Dorożka odwiezie cię do domu.

Głosem spokojnym dał woźnicy adres swoich rodziców.

Jechaliśmy dzielnicą Val de Grâce, przez szyby migały znane sklepy i domy, świadkowie jego pracowitej młodości.

Ileż to razy błądziliśmy razem po tych chodnikach — on biegł do szkoły, ja go odprowadzałem; to znowu ja szedłem do ogrodu Luksemburskiego, a on mi towarzyszył, prowadząc nieskończoną rozmowę o poglądach i zasadach.

I te wszystkie chwile — pracy i rozrywki — tak, wszystko zawdzięczał niecnemu przestępstwu. Jego rodzice ukradli dla niego swobodę i spokój u tego biedaka, który dogasał pod strychem.

Jeżeli ja, prosty świadek, myśląc o tem, czułem się przybity i smutny, jakaż rozpacz musiała szaleć w nim, mimowolnym uczestniku tego dramatu.

A jednak nie okazywał tego na zewnątrz, był spokojny, jak przy łożu chorych. Na własną agonję moralną patrzał z tym samym hartem ducha, co na tyle innych agonij ciała, mniej bolesnych od jego własnej. Silna wola powlokła jego twarz jakby skorupą lodową, oczy miał suche, usta zacięte.

Milczeliśmy tak samo teraz, jak przed godziną, gdyśmy jechali po tę straszną prawdę.

Cóż moglibyśmy sobie powiedzieć? Moc panowania złamała się naprzód we mnie.

Gdy wysiadł przed domem rodziców, uchwyciłem go za rękę i głosem stłumionym obawą, prosiłem:

— Pamiętaj, jak oni cię kochali!

— Gdyby mnie nienawidzili, miałbym do nich o to mniej żalu.

W głosie jego było oburzenie nieubłagane, w spojrzeniu pogarda; czułem, że pod chłodną powierzchnią kryje się burza wewnętrzna. Nic mu na to nie odpowiedziałem. Na co by się to zdało! Odszedł, ja padłem na poduszki powozu i dałem folgę bezmiernej litości, która już oddawna wzbierała w mojem sercu.

— Biedni ludzie, biedni ludzie! — powtarzałem sobie w duchu.

Widziałem Eugeniusza, ukazującego się przed tym dwojgiem ludzi starych, skołatanych. Zdało mi się, że słyszę, jak się ich wypiera, jak im gorzko wyrzuca, że zrobili go wspólnikiem swego przestępstwa, że nadużyli zaufania nieboszczyka,

Widziałem go wchodzącym w te znane mi dobrze progi, słyszałem przelęknione głosy staruszków,

— Dziecko, chcesz matkę zadusić?

— Nie ja cię morduję, ale ty sama siebie! — brzmiały mi w uszach te słowa Klitemnestry i Orestesa, i było mi straszno.

Gdy w następstwie Eugeniusz opowiadał mi wrażenia, przebyte w ciągu tej godziny, która rozstrzygnęła o całej jego przyszłości,

przekonałem się, że moje obawy nie były płonne.

— Postanowiłem — powiadał mi — zmusić ich do wyznań, a potem ich przekląć i życie sobie odebrać...

Z takiemi postanowieniami stanął u drzwi swoich występnych rodziców.

Buntował się na wspomnienie każdego szczegółu przeszłości, to też nie zadzwonił dwukrotnie, jak zwykle. Stawały mu przed oczyma obrazy owych lat dziesięciu, które przeżyli tutaj — oni, złoczyńcy, grabiezcy — on, ich wspólnik.

Gdyby w tej chwili ujrzał przed sobą ojca — mężczyznę, gniew i rozpacz mogły go były popchnąć do potwornego czynu.

Na szczęście starego Corbières nie było w domu. Eugeniusz przezedrzwi poznał lekkie kroki matki, po chwili zobaczył jej oczy i uśmiech.

Teraz dopiero pojmował, dlaczego te oczy płoną gorączkowo, dlaczego ten uśmiech bywa tak smutny, że na chwilę nawet nie zdoła opromienić twarzy trawionej chorobą i zgryzotą.

I oto nagle, sam widok tej istoty chorej, znękanej, która go nosiła w swem łonie, karmiła swem mlekiem, dla niego dopuściła się zbrodni, stopił gniew syna w litość bezmierną i tkliwą.

Ona swemi staremi oczyma, w ciemnej sionce przedpokoju, nie dostrzegła wzburzenia na jego twarzy. Zamykała drzwi powoli, ostrożnie, jak zwykle.

— Mój Boże! — biadała. — Szkoda, żeś mnie nie uprzedził, że przyjdziesz dzisiaj. Byłabym ci zrobiła jaja sadzone z pomidorowym sosem. Ty to lubisz, a na targu były właśnie świeżutkie... Ojca w domu niema, wyszedł przed chwilą... Dziś jakiś niezdrów... Ma duszność .. Trzeba, żebyś go opukał... Ale i tobie coś jest, moje dziecko. Co ci?...

Wprowadziła go do jadalnego pokoju i teraz dopiero, zobaczyła go w świetle. Dość jej było spojrzeć, aby odgadnąć, że syn jest niezwykle wzburzony.

— Moje dziecko, moje dziecko! — powtarzała — Eugeniuszu, co tobie?... Ach!...

Ten okrzyk uwiązł w jej gardle; jasnowidzeniem, matkom tylko właściwym, odczuła rozpacz syna.

Eugeniusz padł na krzesło i wybuchnął płaczem.

Potem, co się dowiedział, jakże mu było ciężko znaleźć się wśród sprzętów, wśród których żył, uczył się, dojrzewał duchem i ciałem; w tej atmosferze, która była żywiołem całej jego młodości.

Te łzy wyratowały go może od samobójstwa lub szaleństwa, pod naporem tej gorącej fali odtajała powłoka lodowa, którą swe serce opancerzył.

Wśród ścian pokoju, gdzie święcono wszystkie tryumfy ucznia, potem studenta, a wreszcie lekarza rozbrzmiewały teraz łkania, szarpanej boleścią męskiej piersi. Matka słuchała ich z bezradną rozpaczą i trwogą.

Musiała domyślać się przyczyny tego wybuchu. Od tylu dni, od lat tylu obawiała się, że syn pozna ich zbrodnię. Spełnili ją wprawdzie dla niego, tem niemniej była to zbrodnia.

Tuliła go w swych objęciach.

— Geniu, to ja, twoja matka! — szeptała lękliwie. — Spojrzyj na mnie. Odezwij się... Co ci jest? Dlaczego płaczesz? Ach! mów... Cokolwiek mam usłyszeć, powiedz... wszystko, byle nie twoje łkania. To mnie zanadto boli...

Słowa jej tchnęły taką siłą miłości macierzyńskiej, że przeniknęły do głębi duszy nieszczęśliwego i wydarły z niej wyznanie.

Podniósł głowę i całą swą boleść, ale też i całą tkliwość przelał w słowa, które padły między nich, jak piorun.

— Moja biedna matko — rzekł — wracam z przedmieścia Saint-Jacques.

Nic mu na to nie rzekła. On, dopiero powiedziawszy te słowa, tak proste a straszne, podniósł oczy i spojrzał na nią pierwszy raz od wejścia w te progi.

Wyciągnęła chude ręce, jak gdyby co chciała usunąć z przed oczu, zbladła śmiertelnie. Przeląkł się, czy nie umiera. Podbiegł do niej, wołając na nią tak, jak byłby zawołał przed laty dwudziestu, gdyby ją widział tak bladą.

— Mamo! — krzyknął.

— Zostaw mnie! — szepnęła i cofała się powoli, aż wreszcie oparła się o ścianę.

Odwróciła się, głowę ukryła w rękach, uklękła i modliła się długo. Gdy wreszcie wstała, w oczach, dokoła ust, na czole, miała w rozpaczy swej, taką pogodę, jakiej nie widział nigdy na jej twarzy.

— Lepiej, że się tak stało — jęknęła w dziwnem podnieceniu. — Bóg ulitował się wreszcie nademną... Za długo już było tej męczarni... O tak — mówiła z coraz większem podnieceniem — wiedziałam, że jak się dowiesz, to mi będzie lżej. Dowiedziałbyś się i tak, w dniu Sądu Ostatecznego, gdy serca będą, jak otwarte karty — a wtedy byłoby jeszcze gorzej...

Zamknęła oczy i z drżeniem trwogi mówiła:

— Gotowa jestem wypić ten kielich... Bóg mi sił doda... Eugeniuszu, powiedz mi, co wiesz, mów wszystko, a ja ci powiem, co prawda, a co nie... Musisz mi być posłusznym, bo jestem twoją matką, bo cię kochałam... aż za bardzo... Pytaj mnie... Ja ci każę... Niech już raz pomiędzy nami nie będzie nic, oprócz prawdy...

— Spróbuję — rzekł Eugeniusz po długiem milczeniu.

Ta nagła stanowczość i ta odwaga w matce, którą dotychczas widywał zawsze zmieszaną, wylęknioną, przejęła go szacunkiem — tem dziwniejszym, że przyszedł, aby zażądać od niej wyjaśnienia, które samo przez się było zniewagą.

Lecz przyjmowała ten cios z taką godnością wielkoduszną, że nawet on, sędzia, który miał wygłosić wyrok potępienia, ukorzyć się przed nią musiał.

Czuł się wzruszony, wzruszeniem najszlachetniejszem, jakiego mógł doznać w takiej chwili, jedynem, które go uchroniło od moralnego matkobójstwa w tem śledztwie okrutnem.

— Czy prawda — pytał — że ten nieszczęśliwy, ów Piotr Robert, jest synem naturalnym waszego dobroczyńcy?

— Tak, prawda: p. Piotra Roberta Haudric — odparła. — Dlatego został wpisany pod temi dwoma imionami. P. Haudric był bratem mlecznym twego ojca. Babka twoja była jego mamką w Péronne. On to umieścił ojca w ministerjum.

— A więc i... reszta.. jest prawdą — mówił syn głosem zdławionym, nie znajdując słów dla określenia tego strasznego zarzutu.

— Że pan Haudric złożył na nasze ręce sumę przeznaczoną dla jego syna? Tak i to prawda.

— I że użyliście tych pieniędzy na mnie? — pytał szeptem, jak gdyby się obawiał, że na dźwięk własnych słów obudzi się w nim szał buntu przeciw tej sromocie.

I ona odpowiedziała mu głosem stłumionym:

— I to prawda.

Splotła ręce i mówiła błagalnie:

— Wysłuchaj mnie, Geniu, wysłuchaj... Zawiniliśmy ciężko, ale żeby nas wyrozumieć, trzeba całą prawdę poznać, a naprzód, że pan Haudric miał wiele kłopotu i zmartwień z tym swoim synem... Chłopak był wprawdzie inteligentny, ale okropny łobuz i birbant, już w szkołach... Pan Haudric chciał, aby Piotr do lat trzydziestu miał tylko tyle, ile mu potrzeba na naukę. Potem dopiero twój ojciec miał mu oddać sumę, którą dla niego przeznaczył, to jest czterdzieści tysięcy franków. Procent wynosił ośmset franków. Mieliśmy posyłać mu procent bezimiennie, gdyż Haudric był żonaty. Matka Piotra Robert była bliską krewną jego żony. Nie pojmuję, jak się stało że on, człowiek prawy, uwiódł młodą dziewczynę. Swego czasu sądziłam go ostro. Dziś wiem, że nie należy nikogo potępiać. Miał inne dzieci i chciał, żeby ta tajemnica wraz z nim zeszła do grobu.. Mówię ci to wszystko, abyś zrozumiał, jakim sposobem ulegliśmy pokusie... Twój ojciec miał dawać baczność na chłopca. W pierwszym roku rentę otrzymał. Dowiedzieliśmy się, że mieszka w dzielnicy Łacińskiej i ugania się za dziewczętami, że zamiast się uczyć, przesiaduje w restauracjach i kawiarniach. Już wtedy upijał się. W dziewiętnastu latach! Uważasz... Na przyszły rok jeszcze procent otrzymał. Sprawował się tak samo, a nawet gorzej... Robił długi i to spore. W trzecim roku... (C. d. n.)

Z pism i książek.

Bolesław Koskowski: *Gmina wiejska.* Zarys samorządu gminnego w Królestwie Polskiem Lwów. Nakład Spółki wydawniczej. 1899.

Rozprawka p. Koskowskiego zaznajamia w sposób treściwy i dostępny z rozwojem samorządu gmin wiejskich w Król. Polskiem i jego stanem obecnym. Samorząd ten znajdował się w epoce konstytucyjnej Królestwa na naturalnej drodze rozwoju, ale po r. 1863 zeszedł z tej drogi o tyle, że z jednej strony tendencja rządowa rosyjska do utworzenia „wołości" t. j. stanowej gminy chłopskiej, nie dała się praktycznie w odmiennych stosunkach polskich przeprowadzić, z drugiej zaś strony zacofany absolutyzm rosyjski nie dał się pogodzić z takimi prawami samorządu, jak zebrania gminne, swobodne wybory gminnych urzędników itp. Myślą przewodnią rządu było wykluczenie z gminy żywiołów inteligentnych, które zresztą usuwają się z niej także dobrowolnie z niekorzyścią dla samorządu gminnego; a zebranie gminne i urzędnicy wybieralni stanowią tylko dogodne narzędzie dla samowoli wójtów, wybieranych przez władze rządowe i bezwzględnie od nich zależnych. Ponieważ zaś wójtami są *en gros* chłopi nawet nie zawsze „piśmienni", więc wójt opiera się z konieczności na pisarzu gminnym. W ten sposób został samorząd gminny w Król. Polskiem scentralizowany w rękach pisarzów, ludzi przeważnie bardzo mało inteligentnych, a przy tem przewrotnych, demoralizowanych z „góry". Taka jest krótka treść ciekawej rozprawki p. Koskowskiego, tylko że autor ze względów cenzuralnych przedstawia wszystko w możliwie łagodnych słowach. *Dr. K. I. G.*

Przekłady z polskiego. Poematy: *Ojciec zadżumionych* Słowackiego i *Wiesław* Brodzińskiego przełożono na język bułgarski. *Dziennik Franciszki Krasińskiej* Klementyny z Tańskich Hofmanowej ukazał się w Londynie w tłómaczeniu angielskiem.

W piśmie ilustrowanem chorwacko-serbskiem, wychodzącem w Zagrzebiu p. t. *Prosvieta*, znajdujemy *Quo vadis?* w tłómaczeniu znanego poety, dra Augusta Harambaszića, oraz portret Sienkiewicza i kopję z obrazu Henryka Siemiradzkiego: Kapliczka *Quo vadis.* W czasopiśmie włoskiem *Rivista politica e teatraria* pomieszczono przekład *Bez dogmatu.* Tłómaczenia dokonał p. D. Ciampoli.

Żurnał *Juridiczeskawo Obszczestwa* pomieścił przekład pracy p. Bronisława Bouffała: *Gmina w Królestwie Polskiem.*

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.